

Kurt Vonnegut Jr

BALNABA

Wszystko układało się znakomicie.

Nie istniały więzienia, slumsy ani domy dla obłąkanych, nie było kalek, nędzy i wojen. Uporano się ze wszystkimi chorobami. Podobnie jak ze starością. Jeśli nie liczyć nieszczęśliwych przypadków, śmierć zarezerwowana była dla ochotników. Ludność Stanów Zjednoczonych ustabilizowała się na poziomie czterdziestu milionów.

Pewnego pięknego ranka mężczyzna nazwiskiem Edward K. Wehling Jr czekał w chicagowskiej klinice, aż jego żona urodzi. Był jedynym oczekującym. Niewielu ludzi rodziło się obecnie. Wehling liczył sobie pięćdziesiąt sześć lat, w społeczeństwie zatem, gdzie przeciętny wiek wynosił sto trzydzieści dziewięć, uchodził za młodzieniaszka. Rentgen ujawnił, iż żona przyszłego ojca spodziewa się trojaczków. Będą to jego pierwsze dzieci.

Młody Wehling skulił się na krześle z głową schowaną w rękach, tak zgarbiony, nieruchomy i bezbarwny, iż niemal niewidzialny. Była to znakomita mimeza, albowiem w poczekalni panował nastrój nieporządku i rozprężenia. Krzesła i popielniczki odsunięto od ścian, na podłodze widniały ślady farby. Pomieszczenie odnawiano, odnawiano zaś po to, aby upamiętniło człowieka, który zgłosił się, by umrzeć. Sarkastyczny starzec, w wieku mniej więcej dwustu lat, siedział na drabinie i tworzył fresk, którego nie lubił. W czasach, gdy bieg życia jeszcze odznaczał się na twarzach i sylwetkach ludzi, dano by mu jakieś trzydzieści pięć lat. Taki wiek osiągnął, zanim wynaleziono lekarstwo na zgrzybiałość. Pracował nad freskiem przedstawiającym bardzo piękny ogród. Mężczyźni i kobiety w bieli, lekarze i pielęgniarki, spulchniali ziemię, sadzili nasiona, spryskiwali szkodniki, rozsiewali nawóz. Mężczyźni i kobiety w purpurowych uniformach pielili zielsko, wycinali rośliny stare i chore, grabili liście, wywozili odpady do spalarni. Przenigdy, nigdy i nigdzie – nawet w średniowiecznej Holandii czy antycznej Japonii – nie zabiegano o ogród lepiej, bardziej starannie. Każda roślina miała pod dostatkiem gleby, światła, wody, powietrza i pożywienia.

Korytarzem nadszedł sanitariusz, nucący pod nosem popularny przebój:

Jeśli nie chcesz mych całusów,

Wiesz, co zrobię, miła ma?

Wezwę purpurową damę.

Powiem światu pa-pa-pa.

Jeśli nie chcesz, mej miłości,

Po co mi tu miejsce grzać,

Niechaj w słodkiej twojej glebie,

Inny kochaś będzie siać.

Sanitariusz spojrział na malowidło i malarza.

– Wygląda jak żywe – ocenił. – Mogę sobie wyobrazić, że stoję tam w środku.

– A cóż sprawia, że myślisz, iż tam nie jesteś? – spytał malarz i uśmiechnął się ironicznie. – Wiesz, to nazywa się „Szczęśliwy ogród życia”.

– Dobry ten doktor Hitz – zauważył sanitariusz.

Uwaga ta dotyczyła wizerunku jednego z mężczyzn w bieli, którego twarz stanowiła podobiznę oblicza doktora Benjamina Hitz, Głównego Obstetrika Szpitalnego. Hitz był olśniewająco przystojnym mężczyzną.

– Wiele twarzy trzeba jeszcze uzupełnić – powiedział sanitariusz, mając na myśli to, że u wielu postaci na fresku widniały nad szyjami puste plamy.

Wszystkie miały wypełnić portrety ważnych osobistości z personelu

szpitalnego albo z chicagowskiego oddziału Federalnego Biura Krańcowego.

– To musi być tajne malować takie obrazki, żeby coś przypominały – zasugerował sanitariusz.

Malarz wykrzywił usta pogardliwie.

– Myślisz, że dumny jestem z tego pacykowania? Myślisz, że tak sobie naprawdę wyobrażam życie?

– A jak sobie naprawdę wyobrażasz życie? – spytał sanitariusz.

Malarz wskazał rozbryzganą plamę.

– To jest niezłe – oznajmił. – Opraw w ramki i będziesz miał obraz bez porównania bardziej uczciwy.

– Stary ponurak z ciebie, prawda? – mruknął sanitariusz.

– Czy to przestępstwo? – prychnął malarz.

Tamten wzruszył ramionami.

– Jak ci się nie podoba, dziadku...

Myśl dokończył, wypowiadając słowo, na każdym automacie telefonicznym widniejące w postaci przycisku, który winna wykorzystać osoba, nie chcąca już dalej żyć. „L” wymówił jak „R”.

Słowo brzmiało: BALNABA.

Po naciśnięciu guzika uzyskiwało się połączenie z instytucją noszącą między innymi takie przezwiska, jak: „Automat”, „Buzi”, „Czyścik”, „Dobrodziej”, „Gołębnik”, „I z głowy”, „Leczynka”, „Maszynka do masła”, „Nie pękaj”, „Odwszalnia”, „Pa, mamuśka”, „Po cóż się dalej martwić?!”, „Puszkownia”, „Szczęście Frania”, „Wydalnik”.

BALNABA było akronimem od Być Albo Nie Być. Połączenie otrzymywało się z miejskimi komorami gazowymi Federalnego Biura Krańcowego.

Malarz zagrał sanitariuszowi na nosie.

– Jeśli uznam, że czas już się zbierać – powiedział – to na pewno nie przez Wydalnik.

– A, Zosia Samosia? – spytał ironicznie sanitariusz. – Brudna robótka, dziadziu. Dlaczego nie pomyślisz o tych, którzy będą musieli po tobie sprzątać?

Malarz obscenicznym gestem dał do zrozumienia, że mało go obchodzi kłopoty tych, którzy będą żyć, kiedy jego już nie będzie.

Po czym stwierdził:

– Jeśli chcesz znad moje zdanie, to świat całkiem dobrze sobie radzi ze znacznie większym brudem.

Sanitariusz zaśmiał się i odszedł.

Wehling, przyszedł oczekujący ojciec, mruknął coś niezrozumiale, a potem znowu zastygł w milczeniu.

Na wysokich obcasach weszła do sali energiczna, budząca respekt kobieta.

Jej buty, pończochy, płaszcz, torba i furażerka były purpurowe, w odcieniu nazywanym przez malarza barwą „gron Dnia Sądneho”.

Na purpurowej torbie znajdował się emblemat Służb Federalnego Biura Krańcowego; orzeł przysiadł na turnikiecie. Przybyła miała wyraźny meszek na twarzy, aczkolwiek słuszniej byłoby nazwać go wąsami. Osobliwą cechą hostess komór gazowych było to, że jakkolwiek subtelne i kobiece wydawały się w chwili przyjmowania do pracy, w przeciągu pięciu lat wszystkie bez wyjątku dostawały wąsów.

– Czy to tutaj miałam się stawić? – spytała malarza.

– Zależy, co miała pani załatwić – odpowiedział. – Spodziewa się pani może dziecka?

– Powiedziano mi, że mam pozować do jakiegoś obrazu – oznajmiła. –

Nazywam się Leora Tapia.

Czekała na odpowiedź.

– I przytapia pani ludzi – mruknął malarz.
 – Co takiego? – spytała.
 – Mniejsza z tym.
 – To naprawdę piękny obraz – oświadczyła. – Zupełnie jak niebo albo coś takiego.
 – Raczej coś takiego – oznajmił malarz. Z kieszonki wyjął listę nazwisk. – Tapia, Tapia, Tapia, Tapia – powtarzał, przeglądając wykaz. – A, mam. Ma pani prawo zostać unieśmiertelniona. Widzi pani jakąś bezgłową postać, którą chciałaby pani obdarzyć swoją twarzą? Jest jeszcze parę po lewej stronie.
 Popatrzyła tępo na ścianę.
 – E tam – bąknęła. – Dla mnie wszystkie są do siebie podobne. Nie znam się na sztuce.
 – Ciało to ciało – powiedział. – W porządku. Jako magister sztuk pięknych, proponowałbym pani to ciało. Wskazał na pozbawioną twarzy postać, niosącą martwe łodygi do spalarni.
 – No nie wiem – zasepiła się Leora Tapia. – Chyba bym wyglądała na sprzątaczkę, prawda? A ja w Służbie służę, a nie sprzątam.
 Malarz klasnął w ręce w udanym zachwycie.
 – Najpierw pani powiada, że nie zna się na sztuce, a zaraz się okazuje, że wie pani o niej znacznie więcej ode mnie. Pewnie, jakaś tam zamiataczka zupełnie nie pasuje do hostessy! Dla pani bardziej odpowiednie jest jakieś zajęcie związane z odstrzeliwaniem, ociosywaniem. – Wskazał na postać w purpurze, odcinającą martwe gałęzie od jabłoni. – A co by pani powiedziała na to? – spytał. – Podoba się w ogóle pani?
 – Och... – zająknęła się, a na jej twarzy pojawił się krwisty rumieniec. – Wtedy... znalazłabym się tuż obok doktora Hitza.
 – Rozumiem, nie byłoby to dla pani przyjemne.
 – Jakże może pan tak mówić! – zachnęła się. – To przecież... taki zaszczyt.
 – Ach, więc podziwia go pani, tak?
 – A któż go nie podziwia – odpowiedziała, zapatrzona w portret doktora Hitza. Była to podobizna ogorzałego mężczyzny o białych włosach, wszechpotężnego Zeusa, w wieku dwustu czterdziestu lat. – Któż go nie podziwia? – powtórzyła. – To dzięki niemu powstała pierwsza w Chicago komora gazowa.
 – Z najwyższą przyjemnością – oświadczył malarz – umieszczę panią tuż koło niego. Będzie pani obcinać niepotrzebne gałęzie, to pani odpowiada?
 – Czymś takim właśnie się zajmuję.
 Nazbyt skromnie mówiła o swoim zajęciu. Polegało ono na tym, że dbała, aby delikwentom było wygodnie, kiedy ich zabijała.
 Leora Tapia pozowała jeszcze do portretu, kiedy w poczekalni pojawił się sam doktor Hitz. Miał siedem stóp wzrostu i roztaczał wokół siebie aurę powagi, sukcesu oraz radości życia.
 – No proszę, pani Tapia we własnej osobie – zawołał i niezwłocznie zażartował: – A co też pani tutaj robi? Stąd ludzie nie odchodzą, tutaj dopiero przychodzą.
 – Znajdę się tuż obok pana na obrazie – powiedziała nieśmiało.
 – To świetnie – rzekł wielkodusznie. – Ale, ale, całkiem dobry ten obraz, nieprawdaż?
 – To dla mnie naprawdę wielki zaszczyt, że znajdę się na nim tuż obok pana – wyznała.
 – Coś pani powiem: to ja będę zaszczycony pani towarzystwem, gdyż bez takich kobiet jak pani niepodobna byłoby stworzyć świata równie pięknego jak nasz.

Uklonił się lekko i ruszył w kierunku drzwi, które prowadziły na porodówkę.

– Niech pani zgadnie, co się dziś urodziło – rzucił w przelocie.

– Nie wiem – odparła.

– Trojaczki!

– Trojaczki!

Jej okrzyk wywołany był prawnymi implikacjami urodzin trojaczków.

Prawo stwierdzało, że żaden noworodek nie może pozostać przy życiu, jeśli

rodzice nie znajdą ochotnika, który umierając, zrobi dla niego miejsce. Jeśli

cała trójka miała żyć, potrzeba było trzech takich osób.

– I rodzice znaleźli trójkę ochotników? – spytała Leora Tapia.

– Z tego, co ostatnio słyszałem – odparł doktor Hitz – wyszukali jednego

i usiłowali wygrzebać gdzieś jeszcze dwoje.

– Z pewnością im się nie udało – oznajmiła. – Nie trafiły do nas żadne trójkowe zgłoszenia. Dzisiaj same jedynki, chyba że coś się pojawiło po tym, jak wyszłam. Jak nazwisko?

– Wehling – odezwał się czekający ojciec i wyprostował na krześle, zmarnowany, z czerwonymi oczyma. – Szczęśliwy przyszły ojciec nazywa się Edward K. Wehling, Jr.

Podniósł prawą dłoń, wpatrzył się w ścianę i na pół zachichotał, a na pół wychrypiał:

– Obecny.

– Ach, pan Wehling – powiedział doktor Hitz. – Przepraszam, nie zauważyłem pana.

– Niewidzialny człowiek – wymamrotał Wehling.

– Właśnie miałem telefon, że urodziły się pańskie trojaczki – obwieścił Hitz.

– Czują się świetnie, podobnie jak pańska małżonka. Właśnie idę ich zobaczyć.

– Hurra.

Głos Wehlinga brzmiał cicho i bezbarwnie.

– Nie wygląda pan na szczególnie zadowolonego – zauważył doktor Hitz.

– Któż nie byłby szczęśliwy na moim miejscu? – powiedział Wehling i rozłożył ręce w geście, mającym wyrazić prostotę i bez troskę jego sytuacji.

– Muszę jedynie wybrać, który dzieciak z trójki ma żyć dalej, potem dostarczyć dziadka od strony matki do Dobrodzieja i wrócić tutaj z pokwitowaniem. Doktor Hitz ze stanowczym wyrazem twarzy zwrócił swą imponującą postać ku Wehlingowi.

– Czyżby sprzeciwiał się pan kontroli urodzin, panie Wehling?

– Myślę, że to bardzo słuszne rozwiązanie – nerwowo odrzekł zapytany.

– Chciałby pan wrócić do starych dobrych czasów, kiedy ludność Ziemi liczyła dwadzieścia miliardów, aby w krótkim tempie podwajać się: czterdzieści, osiemdziesiąt, sto sześćdziesiąt miliardów? Widział pan kiedyś jeżynę?

Tamten spojrzał podejrzliwie na pytającego i wzruszył ramionami.

– Mhm.

– Zatem wie pan, że to owoc złożony z wielu owoców, pestkowców, jak to się określa w botanice. Bez kontroli urodzin ludzie byliby tak ciasno upchani na powierzchni planety, jak pestkowce na jeżynie! Proszę się nad tym zastanowić!

Wehling bez przerwy wpatrywał się w ten sam punkt na ścianie.

– W roku 2000 – ciągnął Hitz – zanim wkroczyli naukowcy i ustanowili nowe prawo, zaczynało już brakować pitnej wody, a do jedzenia pozostały tylko wodorosty, ale ludzie dalej chcieli mnożyć się do woli jak króliki. A co więcej, także i żyć do woli, w nieskończoność, gdyby się dało!

– Chcę tych dzieci – powiedział cicho Wehling. – Chcę, żeby żyła cała

trójka.

- To normalne, bardzo ludzkie pragnienie.
- I nie chcę, żeby umarł dziadek – dodał Wehling.
- Nikomu nie jest wesoło, kiedy przychodzi zabrać bliskich krewnych do Wydalnika – rzekł z łagodnym współczuciem Hitz.
- Nie podobają mi się te nazwy – wtrąciła Leora Tapia.
- Jakie? – spytał Hitz.
- Nie powinno się używać takich określeń, jak Wydalnik i tych innych – wyjaśniała. – Wywierają one negatywne wrażenie.
- Ma pani absolutną rację. Proszę mi wybaczyć – odparł doktor Hitz i zaraz zrehabilitował się, używając oficjalnej nazwy miejskich komór gazowych, której nie sposób było posłyszeć w normalnej rozmowie. – Powiniennem powiedzieć: Gabinety Etycznego Samobójstwa.
- To brzmi o wiele lepiej – oznajmiła Leora Tapia.
- Jeśli zaś chodzi o pańskie dzieci, panie Wehling, którekolwiek pan wybierze, niezależnie od płci, żyć będzie ono na planecie zawdzięczającej swe szczęście, przestronność, czystość i bogactwo właśnie kontroli urodzin. Życie będzie w ogrodzie takim jak ten tutaj, na ścianie. – Pokręcił głową. – Dwieście lat temu, kiedy byłem młodzieńcem, Ziemia stanowiła takie piekło, iż nikt nie wierzył, że może przetrwać jeszcze dwieście lat. A dzisiaj... Jak daleko sięgnąć wyobraźnią, nic tylko wieki pokoju i dostatku.
- Uśmiechnął się promiennie.
- Uśmiech zgasł mu na wargach, kiedy zobaczył rewolwer.
- Wehling jednym strzałem położył doktora trupem.
- Oto i miejsce dla jednego – powiedział – i to całkiem sporego.
- Po czym zastrzelił Leorę Tapię.
- To tylko śmierć, nic więcej – skomentował jej upadek. – Jest miejsce i dla drugiego.
- A potem sam się zastrzelił, w ten sposób robiąc miejsce dla całej trójki swoich dzieci. Nikt nie krzyczał, nikt nie nadbiegł, nikt zapewne nie słyszał nawet strzałów. Malarz przysiadł na szczycie swojej drabiny i spoglądał zadumany na ową przygnębiającą scenerię. Malarz zamyślił się, rozważając przygnębiającą zagadkę życia, wymagającego, aby się urodzić, a gdy to się już stało – aby być płodnym, mnożyć się i żyć jak najdłużej, a wszystko to na bardzo małej planecie, która powinna trwać wiecznie. Przychodziły mu do głowy same ponure odpowiedzi, z pewnością bardziej nawet ponure niż Wydalnik, Dobrodziej czy I z głowy. Myślał o wojnie. O zarazie. O śmierci z głodu. Wiedział, że więcej już niczego nie namaluje. Upuścił pędzel na leżącą niżej szmatę. Potem zaś uznał, że i on ma dosyć życia w Szczęśliwym Ogrodzie Życia i powoli zszedł z drabiny. Podniósł z ziemi rewolwer Wehlinga, zamierzając strzelić do siebie. Zabrakło mu jednak odwagi. I wtedy w rogu poczekalni zobaczył automat telefoniczny. Podszedł do niego i wcisnął guzik z napisem BALNABA.
- Federalne Biuro Krańcowe – odezwał się ciepły głos hostessy.
- Jak szybko mogę się zgłosić? – spytał, starannie wymawiając słowa.
- Możemy chyba pana zarejestrować na wczesny wieczór – poinformowała.
- Może nawet wcześniej, gdyby ktoś zrezygnował.
- Dobrze. Proszę mnie wpisać, jeśli taka pani miła.
- I podał nazwisko, starannie je literując.
- Dziękuję panu – powiedziała hostessa. – Dziękuję panu miasto, dziękuję kraj, dziękuję panu planeta. Ale najgoręcej dziękują przyszłe pokolenia.

Przełożył Jerzy Łoziński